

LUDWIK ŁYSIAK (Kraków)

Jeszcze raz o małopolskich starostach grodzkich w XV i XVI wieku.

W odpowiedzi Barbarze Waldo

Po raz czwarty zabieram głos na temat rozprawy habilitacyjnej Barbary Waldo pt. *Urząd starosty sądowego w Małopolsce w XV i XVI wieku*. Z kilku powodów czynię to niechętnie. Po pierwsze, Autorka — jak świadczy o tym jej odpowiedź na moją recenzję — jest tak dalece uodporniona na wszelką argumentację podważającą jej poglądy, że nie należy w żadnym punkcie dyskusji oczekiwać jakiegokolwiek zmiany jej stanowiska. Sądzę nawet, że wspólna platforma tej dyskusji jest dość krucha, skoro — poza wielu innymi — różnimy się w tak podstawowych kwestiach, jak określenie istoty badanego tematu i wybór podstawy źródłowej. Po drugie, trudno dyskutować z Autorem przekonującym, że jego praca jest dziełem doskonałym i w zasadzie lepszą już być nie może. A tymczasem trzeba niekiedy uznać swoje błędy, zwłaszcza jeżeli są one oczywiste, i nie można traktować czynionych z tego powodu zarzutów jako krytykę *ad personam*. Po trzecie, zarówno lektura omawianej pracy, jak również odpowiedź na mój artykuł recenzyjny nasuwają podejrzenie, że Autorka nie zawsze odróżnia polemikę od kłótni oraz argumentację naukową od emocjonalnej. Oczywiście w takiej sytuacji również trudno osiągnąć jakiegokolwiek porozumienie. Oto powody mojej niechęci, po których przedstawieniu mógłbym w zasadzie zakończyć swoją replikę. W odpowiedzi B. Waldo znalazły się jednak pewne nowe elementy, nie ujawnione w samej pracy, a wymagające także z mojej strony odpowiedniego komentarza. Dlatego więc dodaję tu jeszcze kilka dalszych uwag.

Moja przygoda z rozprawą habilitacyjną Barbary Waldo rozpoczęła się od recenzji wydawniczej, którą pisałem w 1985 r. podczas mego kilkumiesięcznego pobytu w Max-Planck-Institut für Europäische Rechtsgeschichte we Frankfurcie n/M. Mimo braku dostępu do literatury o tematyce starościńskiej, a zwłaszcza do źródeł, już wówczas wysunąłem

pod adresem tej rozprawy kilka istotnych zarzutów, poważnie osłabiających jej wartość naukową. Świadomie przy tym ograniczyłem się tylko do takich, które dotyczyły niezbędnych — moim zdaniem — poprawek i uzupełnień rozprawy przed oddaniem jej do druku, wymagających wprowadzienia pewnego nakładu pracy i czasu, ale bez konieczności gruntownej przebudowy jej podstawowej substancji. Dopiero po kilku miesiącach, już po kolokwium habilitacyjnym i po moim powrocie do kraju, mogłem stwierdzić na podstawie otrzymanego od Autorki egzemplarza, że mimo mojej krytycznej recenzji wydawniczej praca została opublikowana bez zmiany i poprawki jakiegokolwiek słowa. Pod adresem redaktora wydawnictw Uniwersytetu Łódzkiego jak również samej Autorki kieruję więc pytanie, po co przysyłano mi pracę do recenzji, czy tylko dlatego, aby stało się zadość formalnym wymogom jej zaopiniowania przed drukiem? Pytanie drugie, czy pominięcie na *verso* karty tytułowej mego nazwiska jako recenzenta jest przypadkowe czy celowe? Wszak praktyka w tym względzie jest powszechnie znana. I na koniec trzecie pytanie, jak należy ocenić to wszystko z etycznego punktu widzenia, na który Autorka omawianej rozprawy jest szczególnie wychulona?

W kilka tygodni po wysłaniu recenzji wydawniczej otrzymałem od Dziekana Wydziału Prawa i Administracji UŁ zaproszenie do opracowania opinii o dorobku naukowym i rozprawie habilitacyjnej B. Waldo w związku ze wszczętym postępowaniem habilitacyjnym. Opinię taką niezwłocznie opracowałem, mając do dyspozycji przysłane mi do Frankfurtu wszystkie publikacje naukowe Autorki oraz sporządzone w trakcie przygotowywania recenzji wydawniczej notatki z pracy habilitacyjnej, pozostającej wówczas jeszcze w maszynopisie. Nie wiedziałem oczywiście i nie przypuszczałem nawet przez chwilę, że rozprawa ta zostanie opublikowana bez zmian w brzmieniu przekazanym mi do recenzji. Pewny zatem, że Autorka wprowadzi niezbędne poprawki do swej pracy przed jej oddaniem do druku, nie mając przy tym możliwości odłożenia omawianej opinii do czasu, kiedy rozprawa zostanie już opublikowana, napisałem recenzję do przewodu habilitacyjnego zakończoną wnioskiem pozytywnym. Zamieściłem w niej wiele uwag krytycznych i polemicznych na tematy objęte pracą habilitacyjną, obok nich zaś także nieco pochwał dotyczących głównie dorobku naukowego B. Waldo, ze szczególnym uwzględnieniem znanej i cenionej jej rozprawy doktorskiej o niedziale rodzinnym w średniowiecznym prawie polskim. Akcenty pozytywne — jak to nazywa Autorka — dotyczące samej pracy habilitacyjnej były przeznaczone dla tej wersji rozprawy, która powinna ukazać się drukiem, a więc nie dla tej, którą wówczas recenzowałem. Nie ukrywam dziś, że byłyby one znacznie skromniejsze, końcowy zaś wniosek do przewodu habilitacyjnego prawdopodobnie negatywny, gdybym wiedział, jak potraktowana została przez Autorkę moja recenzja wy-

dawnicza. Oto wyjaśnienie, skąd biorą się różnice między moimi recenzjami, a równocześnie odpowiedź, dlaczego w recenzji przeze mnie opublikowanej na łamach Czasopisma Prawno-Historycznego (t. XXXVIII, z. 2), trzeciej już z kolei, „brak jakichkolwiek akcentów pozytywnych”. Po prostu rozprawa habilitacyjna na takie akcenty — moim zdaniem — nie zasługuje. Ale przynajmniej pozostają Autorce na pocieszenie „efekty nieco humorystyczne”, wynikające z zestawienia moich dwóch — niezbyt zresztą różniących się co do meritum — opinii.

Krótko odpowiadam również na twierdzenie Autorki, iż zarzuty pod adresem jej pracy habilitacyjnej sformułowałem „w sposób niesłychanie agresywny” oraz że całość mego artykułu recenzyjnego „nie jest krytyczną oceną mojej pracy; jest totalną negacją jej wartości”. Nie jest to pierwsza przeze mnie napisana recenzja „agresywna” i nie jest również istotne, jak się ją nazwie. Ważne natomiast pozostaje zawsze to, co jest przedmiotem recenzji i czy taka recenzja ma charakter rzeczowy i twórczy. W kwestii drugiej zgadzam się oczywiście ze stwierdzeniem Autorki i w pełni podtrzymuję wszystkie wysunięte wcześniej zarzuty, łącznie z wnioskami końcowymi. W recenzji habilitacyjnej pisałem, iż Autorka „mimo wszelkiej staranności i wielkiego wysiłku pozostawiła jeszcze szerokie pole do dalszych badań nad urzędem starosty małopolskiego w XV i XVI wieku”, w opublikowanym zaś artykule recenzyjnym wyraziłem przekonanie, że „Autorka nie zamknęła tematu, ale właściwie tylko go otworzyła i to w sposób, który musi wywołać nie-małe rozczarowanie”. Oba wnioski końcowe są więc podobne i dlatego też sędzę, iż nauka nie poniosła zbyt wielkiej straty wskutek tego, że omawiana tu rozprawa nie jest dostępna na rynku księgarskim.

Przechodzę do niektórych kwestii merytorycznych, zaczynając od tytułu omawianej rozprawy. Już w recenzji wydawniczej zwracałem uwagę na rozbieżność między tytułem pracy a jej rzeczywistą zawartością, postulując jedynie zmianę tegoż tytułu. Autorka tłumaczy nam obecnie, iż zachodzi tu zasadnicze nieporozumienie, ponieważ pod pojęciem „urzędu starosty” ma ona na myśli „osobę starosty jako urzędnika”, ja natomiast urząd grodzki i jego kancelarię. Ale prawdziwe nieporozumienie polega na czymś innym. Domagałem się bowiem zmiany tytułu przede wszystkim dlatego, że rozdział pracy pt. *Zakres działania starosty* w aktualnej wersji jest żenująco słaby i nie wyczerpuje nawet tego, co można by tu napisać na podstawie samej tylko literatury. Tłumaczenie, że „jest to temat na odrębną, obszerną monografię” (w innym miejscu mowa jest nawet o kilku monografiach), trzeba uznać — krótko mówiąc — za nieprzekonujące. Nie chcąc narażać Autorki na konieczność napisania nowego na ten temat rozdziału, zaproponowałem jedynie zmianę tytułu, wychodząc z założenia, że pod obecnym tytułem obok osoby starosty jako urzędnika musi być także przedstawiony w miarę poprawnie pełny zakres jego działania, ulegający przecież w XV i XVI w. dość istotnym

przemianom, oraz funkcjonowanie tego urzędu w praktyce sądowej i administracyjnej. Czytelnika nie interesuje, co Autorka w tym przypadku „miała w roboczym planie pracy”, lecz tylko to, co z tego planu zrealizowała.

Kolejnym problemem, na który kładłem szczególny nacisk w każdej mojej recenzji rozprawy habilitacyjnej Barbary Waldo, jest podstawa źródłowa omawianego opracowania. Autorka wytyka mi „nietaktowne” postępowanie, „coraz mniej wybredny” sposób formułowania zarzutów itp., wykazując na tym odcinku wyraźną irytację. „Doprawdy, nie warto — pisze m.in. — wracać bez końca do kwestii braku rękopiśmiennych ksiąg grodzkich województwa krakowskiego”. Owszem — warto, jest to bowiem sprawa najbardziej z wszystkich tu omawianych podstawowa. W części wstępnej swej pracy (s. 22) Autorka poświęca jej aż jedno zdanie (!), które w odpowiedzi na mój artykuł uzupełnia: „nie miałam żadnego urlopu naukowego ani żadnej innej możliwości przebywania w Krakowie przez dłuższy czas. W jaki sposób mogłam więc korzystać ze źródeł rękopiśmiennych?” Zapewne znów posądzony zostanie o nietakt, ale na takie wyjaśnienie nasuwa się nieodparcie uwaga: czy Autorka musiała koniecznie pisać pracę habilitacyjną o starostach małopolskich? Dodajmy, że chodzi tu nie tylko o księgi grodzkie województwa krakowskiego, ale również o inne źródła rękopiśmienne, szczególnie o księgi Metryki Koronnej, znane Autorce tylko z regestów. Jakie pociągnęło to za sobą następstwa, wystarczająco opisałem w moim artykule. I jeszcze jedna uwaga: aby korzystać z rękopiśmiennych ksiąg grodzkich czy też z ksiąg Metryki Koronnej, nie trzeba bynajmniej jechać do Krakowa lub Warszawy. Wystarczy wypożyczyć od Archiwum Łódzkiego albo nawet do Instytutu Historyczno-Prawnego UŁ odpowiednie mikrofilmy z AGAD-u oraz z Archiwum Państwowego w Krakowie. Szkoda, że Autorka z tej możliwości nie skorzystała. Nie przypuszczam bowiem, że o niej w ogóle nie wiedziała, choć zdaje się temu przeczyć takie oto zdanie: „Niestety, wyboru nie miałam i nie wiem, w jakim celu Recenzent usiłuje przekonać Czytelnika, że nie rozumie, na czym polegały moje trudności w korzystaniu z krakowskich zbiorów archiwalnych”. Z całą tą sprawą wiąże się jeszcze drobna w zasadzie kwestia braku wykazu źródeł, która tak Autorkę dotknęła. Znów odwołuję się do powszechnej praktyki w tym zakresie. Na tej właśnie podstawie muszę stwierdzić, iż sam fakt omówienia źródeł w części wstępnej rozprawy nie zwalnia jeszcze Autora od sporządzenia ich wykazu w zakończeniu. To samo dotyczy również literatury przedmiotu, którą zwykle omawia się we wstępach, a następnie zamieszcza jej wykaz na końcu pracy. I tak też powinna postąpić Autorka w naszym przypadku.

„Cecha szczególna” proponowanej przeze mnie kwerendy źródłowej w księgach grodzkich, nazwana przez Autorkę złośliwie „imponującym tempem wzrostu”, została jej podsunęta przeze mnie już w recenzji wy-

dawniczej. Nie zrozumiała jednak Autorka, że dając jej do wyboru jedną z trzech możliwości wykorzystania tychże ksiąg w rozprawie habilitacyjnej przed oddaniem jej do druku, zwiększając kolejno skalę ich trudności. Ostatecznie nie wybrała żadnej, ponieważ już z góry określiła jednoznacznie swój stosunek do źródeł rękopiśmiennych we wstępnej części swej pracy.

Na mój zarzut, iż mylące jest używanie łączne tytułów starosty sądowego i niesądowego, jeżeli takie występują w źródłach — a zdarzają się wcale często — oraz na propozycję pominięcia w ogólności wszelkich tytułów związanych ze starostwami niegrodowymi, odpowiada Autorka, że śledzi uważnie, jakie urzędy i tytuły kumulował starosta sądowy. Celowo więc uwzględnia je wszystkie, tak jak występują one w źródłach, „przeciętnie zaś inteligentny czytelnik” powinien umieć je rozróżniać, skoro w części wstępnej rozprawy zostały dokładnie wyliczone wszystkie starostwa sądowe Małopolski. Mam tylko wątpliwości, czy „przeciętnie inteligentny czytelnik” da sobie radę z odróżnieniem starostwa sądowego od niesądowego w przypadku, kiedy jedno z nich znajduje się poza Małopolską; a takich przykładów w źródłach nie brakuje. I dalej, skąd „przeciętnie inteligentny czytelnik” ma wiedzieć, że łączenie starostw grodowych i niegrodowych niewiele ma wspólnego z kwestią kumulacji urzędów, a co za tym idzie, z tak uważnie śledzonym przez Autorkę problemem?

Stosunkowo dużo miejsca poświęciła Autorka dwom przytoczonym przeze mnie we fragmentach dokumentom nadawczym starostw grodowych w Bieczu i Krakowie. W obu przypadkach, wybranych oczywiście tylko przykładowo, chodziło mi o weryfikację poglądów Autorki na niektóre zagadnienia związane z tytułem prawnym dzierżenia starostwa. W szczególności przykłady te pozwoliły mi podać w wątpliwość jedną z głównych jej tez o dominującej roli elementów prywatno-prawnych w nadaniach starostw sądowych Małopolski w XV i XVI w. Świadczą one — moim zdaniem — przekonująco przeciw twierdzeniom, jakoby urząd był tylko dodatkiem do tenuty, a przemawiają raczej za równorzędnością obu tych elementów na przykładzie instytucji starostwa sądowego. Jeśli zatem B. Waldo przypisuje mi negatywne stanowisko wobec przyjętej przez nią tezy o połączeniu w dawnym urzędzie polskim elementów prawa publicznego i prywatnego, to tylko w sensie tu przytoczonym, czyli nie wykluczającym żadną miarą takiego połączenia, a tylko osłabiającym ową supremację elementów prywatno-prawnych. Drugim powodem, dla którego przytoczyłem obydwie dokumenty, było wykazanie, iż nominacja na urząd starosty sądowego — wbrew poglądom Autorki — znajduje pełne potwierdzenie źródłowe. Odpowiedź Autorki w tym punkcie jest dość enigmatyczna. A przecież wystarczyło dodać tylko jedno zdanie wyjaśniające, jakie rozstrzygnięcie zapadło w tej kwestii na kolokwium habilitacyjnym. I wreszcie przytoczone przeze

mnie. dokumenty miały wykazać, iż regesty Metryki Koronnej, będące w przekonaniu Autorki źródłem szczególnie ważnym i wartościowym, w rzeczywistości nasuwają różne wątpliwości. Ich funkcja bowiem nie polega na zastępowaniu dokumentów, a tylko na sygnalizowaniu ich istnienia i miejsca wpisu oraz podawaniu najistotniejszych danych identyfikacyjnych. Zaufanie do tego źródła musi więc być zawsze ograniczone, jeżeli się je wykorzystuje bez sięgania do pełnego tekstu.

Z moją hipotezą zakładającą stopniowy rozdział między urzędem starościńskim a związanym z nim uposażeniem Autorka oczywiście zgodzić się nie może. Nie mam o to żadnej pretensji ani też nie zamierzam podejmować tu dyskusji nad problemem, który przecież — jak sam o tym pisałem — wymaga jeszcze badań. Bez znajomości ksiąg grodzkich trudno zresztą byłoby Autorce cokolwiek w tej sprawie powiedzieć. Wydawnictwo Kuźrzeby, zawierające materiały do dziejów staropolskiego wymiaru sprawiedliwości, niewiele tu pomaga. Jedna tylko kwestia z moją hipotezą związana wymaga już teraz pełnej jasności. Otóż wszędzie tam, gdzie mówię o zaznaczającym się od końca XV w. rozdziale między uposażeniem a urzędem, charakterystycznym dla instytucji starostwa sądowego w Małopolsce, mam na myśli urząd i sąd grodzki, jako organy wykonujące wszelkie czynności należące do zakresu działania starostów. Podkreślam to szczególnie wyraźnie przede wszystkim dlatego, że B. Waldo — ustosunkowując się do mojej hipotezy — posługuje się innym pojęciem urzędu starościńskiego, takim, którego zadania wykonuje starosta osobiście, a nie za pomocą urzędu grodzkiego. Rzecz oczywista, rozdział między takim urzędem a przywiązanym doń uposażeniem nie wchodzi tu w ogóle w rachubę. Równocześnie jednak mam poważne wątpliwości, czy uprawnienie starostów można dzielić na takie, które wykonują oni osobiście i takie, których wykonywanie należało do sądu lub urzędu grodzkiego. Dla dalszych badań nad instytucją staropolskich starostów czyni to niewątpliwie, iż, mając do czynienia z urzędem starościńskim jako takim i urzędem starościńskim jako organem wykonawczym tego pierwszego (występującymi w źródłach pod taką samą nazwą — *officium capitaneale*), będziemy ciągle narażeni na mimowolne pomyłki albo zmuszeni do nieustannego wyjaśniania, o jaki urząd nam rzeczywiście chodzi. W tej sytuacji moją hipotezę o rozdziale trzeba skorygować o tyle, że zachodził on między uposażeniem i urzędem starosty jako takim z jednej strony, a całym jego aparatem wykonawczym, czyli urzędem i sądem grodzkim z drugiej strony. Sądzę, że dalsze badania nad instytucją (a nie urzędem) starosty małopolskiego powinny tę hipotezę potwierdzić.